



Kryminał z myszką

88

Wynajęty morderca

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

WYNAJĘTY MORDERCA

Kryminał z myszką – Tom 88

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-54-9

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: Bellona, Warszawa 1991, seria „Labirynt”

autorka użyła w nim pseudonimu Stanisław Załęski

jest to ostatnia książka, którą napisała

Prolog

– Puść, to boli!

Z trudem wyrwała rękę z mocnych męskich dłoni, odsunęła się w kąt pokoju. Drugi mężczyzna rozwalony na tapczanie, w rozpiętej do pasa koszuli, z twarzą zaczerwienioną i błyszczącą od potu, roześmiał się wzgardliwie.

– Coś taki słaby, Andrzej? Daj jej nauczkę!

Tamten nie odpowiedział. Sięgnął po butelkę, stwierdził, że pusta, i mruknął:

– Przynieś!

Kobieta wciąż rozcierała bolącą rękę. Miała drobne, na wpół rozchylone usta i oczy pełne strachu. Oparta o szafę, skulona, patrzyła gdzieś w bok.

– Ewa, słyszałaś, co mówiłem? – podniósł głos. – Przynieś z kuchni drugą butelkę. Jarzębiak albo... zresztą wszystko jedno co.

Wysunęła się cicho. Tamten na tapczanie ziewnął, przeciągnął się, a potem powiedział z wyraźną przyganą:

– Na co ty ją jeszcze trzymasz? Przecież to szmata. Taka mała, beznadziejna szmatka. Byle co. Nie stać cię na lepszą?

– Może masz rację. Ot, uczepliła się. Jak wesz.

Ewa wróciła z butelką w ręku, postawiła na stole.

– Nalej, ty... – bluznął wyzwiskami.

Była blada, ręce jej się trzęsły. Trochę alkoholu wylało się obok kieliszka. W powietrzu śmignęła twarda pięść, ale kobieta zdążyła się uchylić. Upuściła jednak butelkę. Pękło szkło, wódka zalała podłogę. Andrzej zerwał się z krzesła.

– Należy się jej porządna wcira – orzekł kolega. – Tyle jarzębiaku na nic!

Biciu przyglądał się spokojnie, oceniając ze znanstwem każdy cios. W pewnej chwili zaniepokoił się, wstał.

– No, dosyć – powiedział. – Bo nam wykituje i będzie kłopot.

Andrzej dosłyszał, zreflektował się. Oddychał ciężko, oczy miał na wpół przytomne. Odszedł od kobiety, leżącej bezwładnie na podłodze, rzucił się na tapczan. Kolega zbliżył się do Ewy, przyjrzał z ciekawością. Potem trącił nogą. Raz, drugi. Nie zareagowała. Na białej twarzy krew mieszała się ze łzami.

– Zostaw, Leon. Ona ma życie twarde jak kotka. Nawet siekierą nie do... – urwał, przymknął oczy i po chwili zasnął.

Leon patrzył jeszcze chwilę na nieruchomą kobietę, marszcząc brwi z zakłopotaniem. Śmierć z pobicia – rozważał w duchu – to co najmniej dziesiątka. Za współudział trochę mniej, może trzy. Za mocno walił, skurwiel.

Wyszedł do kuchni, przyniósł kubek z wodą, wylał na twarz Ewy. Drgnęła, poruszyła się.

– Widzisz, laluniu! – ucieszył się. – Żyjesz. Wstawaj, zmarzniesz na podłodze. Umyj się, bo strach na ciebie patrzeć.

Powoli dźwignęła się, wspierając o krzesło. Zrobiła krok, jęknęła. Strasznie bolała noga w kolanie i w biodrze, nie mogła stąpnąć.

– Coś ty jej zrobił? – syknął Leon. – Przecież tak nie wyjdzie!

Andrzej usiadł na tapczanie. Przez chwilę przyglądał się Ewie, jakby nie pamiętał, co się stało. Nagle oprzytomniał, poczerwieniał z gniewu. Zaciągnął ją do łazienki, szybko zmył krew z twarzy i z rąk. Potem zawlókł z powrotem do pokoju i zaczął do otwartej torby wkładać suknie, bieliznę, jakieś drobiazgi, kosmetyki.

– Dojdzie do domu? – spytał Leon z powątpiewaniem. – Daj jej na taksówkę.

– Dam. Na pogrzeb – burknął. Ubrał ją w płaszcz, włożył na głowę берет. Ewa stała jak manekin, patrząc szeroko rozwartymi oczami. Nie odzywała się.

– Jazda! – warknął, wskazując wypchaną torbę. – Za drzwi.
– No, ja będę lepszy – roześmiał się Leon. Podszedł, włożył dziewczynie do kieszeni płaszcz kilka banknotów. – Na pożegnanie.
– Ty mnie... wyrzucasz? – spytała, z trudem otwierając usta. Nie odrywała wzroku od Andrzeja.

Nie mógł tego znieść. Kiedyś przecież ją kochał albo tak mu się zdawało. Kiedyś...
– Wynoś się – mruknął, wypychając ją do przedpokoju. Otworzył drzwi, chwilę nasłuchiwał. Była głęboka noc, w kamienicy ludzie spali, nic nie zakłócało ciszy. – Wynoś się! – powtórzył.

Już o nic nie pytała. Wlokąc za sobą torbę, z największym trudem zeszła ze schodów. Kiedy znalazła się na dole, usłyszała trzask zamykanych drzwi. Ulica była pusta. Przez chwilę rozglądała się bezradnie, potem zrobiła kilka kroków. Potworny ból w nodze był nie do zniesienia. Potknęła się na wystającej płycie chodnika, upadła. Nie mogła się podnieść.

Gdzieś po godzinie nadeszli ludzie. Popatrzyli na leżącą, ktoś uznał, że to pewnie pijaczka, ktoś inny wezwał pogotowie. Karetka zawiozła ją na ostry dyżur. Stary siwy chirurg pokiwał głową i od razu skierował na salę operacyjną. Prawa noga była złamana w trzech miejscach od biodra aż do stopy, prócz tego pokaleczona ręka, rozbity nos, naderwane ucho.

– Będzie kuleć do końca życia – powiedział siwy chirurg do kolegi. – I wcale nie jestem pewien, czy obejdzie się bez amputacji.

Porucznikowi milicji, który później pytał Ewę, kto ją tak pobił, odpowiedziała, że na ulicy napadło ją trzech nieznanych mężczyzn. Nie pamięta żadnej twarzy, nigdy ich nie widziała.

Minęło osiem lat.

Rozdział 1

Tego ranka na giełdzie panował zastój. Może ludzie kupili już, co chcieli, może nie mieli pieniędzy. Wprawdzie godzina była wczesna i lepszych klientów należało oczekiwać dopiero koło południa, jednakże tacy znawcy spraw handlowych jak Mykwa albo garbaty pan Józus z wielkim fałszywym brylantem na kościstym palcu, od początku wiedzieli: słabe przebicie. Mimo to żaden z szanujących się zawodowców nie ruszył się z placu. Zawsze przecież może się coś odmienić.

O jedenastej pojawiło się dwóch rekinów giełdowych: Bystron i Wistek. Każdy przyjechał swoim wozem. Wyprzedzając się co chwila, mierzyli się po drodze oczami pełnymi gniewu: jeden życzył drugiemu jak najgorzej. Po wyjściu z samochodów uklonili się sobie z powściągliwą uprzejmością; chamom nie należało pokazywać, co się czuje, wprost nie wypadało. Rozeszli się potem po placu, do swoich agentów, pośredników, przemytników i kogo tam jeszcze mieli na usługach.

– Jak schodzi? – spytał Wistek, poprawiając granatowy krawat, który pięknie kontrastował z marynarką w drobną kratkę.

Pan Józus westchnął, rozłożył ręce.

– Słabo, szefie. W tej chwili idzie trochę towaru z Emiratów. Biorą też japońskie minikalkulatory, te po czterdzieści kafil, i czeskie zestawy po trzydzieści. Koszule francuskie ani drgną; może wzory się nie podobają? Aha – uśmiechnął się – jakiś Szwed wziął od razu cztery kilo wędzonego łososa po sto patyków za kilo. Baba aż kwiczała z radości, taki utarg z samego rana!

– Która to?

– Pasączkowa, o tam – pokazał ręką. – Ona ma zawsze najlepsze ryby. Węgorz u niej po osiemdziesiąt. Wędzony. Co jeszcze? Na tureckie skóry już nic chcą patrzeć. Wszystkie

giełdy nimi zalane. Pan nie kalkuluje przelotu? – spytał ostrożnie. – Najlepsza Tajlandia. Ale, wie pan, o co teraz pytają? – zachichotał. – O torebki i buty ze skóry krokodylowej! Mają niektórzy szmal!

– Można spróbować. – Wistek pokiwał głową. – Z Singapuru. Chociaż Tajlandia lepiej się opłaca. Ma więcej towaru.

Pan Józus przyglądał mu się z szacunkiem. Wiedział, że bilet lotniczy do Bangkoku to prawie tysiąc dolców, a przecież trzeba też wyłożyć na towar. Przypomniało mu się zaraz, że tutaj nie rozmawia się o żadnej walucie: pieniądze mają swoje specjalne określenie: „papier”, i tyle. Więc tysiąc „papierów” i co najmniej ze dwa tysiące na zakupy. Ale Wistka stać na przelot do Tajlandii nawet i trzy razy w miesiącu. Dlatego Józus stał teraz i patrzył z absolutną uległością w twarz giełdjarza. Może da jakieś polecenie, może wyjmie ten swój wspaniały portfel ze złoczonej skóry... Wyobraził sobie, że oto już, zaraz, dostaje kilka „papierów”, i zrobiło mu się gorąco.

Wistek miał jednak twarz chmurną, był niezadowolony. Przelatywał oczami po straganach, po budach zawodowych handlarzy, taksował wartość stosów odzieży, butów, galanterii skórzanej. Przenosił wzrok na „muzyczną elektronikę”, przy której zawsze kręciło się trochę skinów z czubami na wygolonych głowach i bez grosza w kieszeni, głodnymi oczami pożerających zagraniczne magnetowidy, kasety, miniaturowe telewizory.

Mogło się wydawać, że Wistek czegoś szuka, więc pan Józus niecierpliwie przebierał nogami w kolorowych adidasach i starał się zwrócić na siebie uwagę. Bezskutecznie. Giełdowy król bowiem niczego nie szukał, miał wszystko, co zapragnął. Jednak od pewnego czasu czuł się zagrożony. Nie żeby ktoś nastawał na jego życie, taki się jeszcze nie urodził, zresztą na giełdach i w lokalach był bezpieczny, chroniła go obstawa. Jego domu strzegły dwa ostre wilczury, mnóstwo elektronicznych zamków szyfrowych, kraty i specjalne urządzenia „pod prądem”; nie zabijały, ale paraliżowały włamywacza na parę godzin.

Rzecz w tym, że miał groźnego konkurenta. Do tej pory załatwiał się z takimi w bardzo prosty sposób. Facet dostawał propozycję nie do odrzucenia – albo opuści warszawskie giełdy i targowiska raz na zawsze, albo oberwie po łbie. Tylko jeden zlekceważył ostrzeżenie; wyciągnięto później jego ciało z glinianki. Wistek miał pole wolne; na grubsze transakcje dyktował ceny, poniżej tysiąca dolarów sprawa go nie interesowała. Wrodzony spryt, zimna kalkulacja i umiejętność lawirowania pomiędzy zagranicznymi dostawcami sprawiły, że krok po kroku, ale zawsze w górę, zbliżał się do miliarda. Kupował i sprzedawał, błyskawicznie orientował się, gdzie powstała luka, i natychmiast zapełniał ją towarami, sprowadzanymi z Emiratów Arabskich, Tajlandii, Republiki Południowej Afryki, Korei Południowej, nawet Japonii. Mówił niezłe po angielsku i niemiecku, potrafił na przykład w hotelu „Marriott” postawić dostawcy porcję raków za sto tysięcy złotych i najdroższy koniak albo zrazy z kaszą gryczaną i wyborową w knajpie ostatniej kategorii, ale ze wspaniałą prywatną kuchnią, jeżeli gość miał takie zachcianki.

Był uznanym królem warszawskich giełd, choć jeszcze nie żył jak król. Jeszcze zapobiegliwie gromadził, umieszczał w bankach, lokował w zagranicznych papierach wartościowych, trochę w sztabkach złota. Miał dopiero czterdzieści dwa lata. Cóż to jest dla człowieka wielkiego interesu? Właściwie początek.

Ale czuł się zagrożony. Od pięciu, może sześciu miesięcy. Oto pojawił się ktoś równie sprytny, ruchliwy jak piskorz, obracający milionami z łatwością, do jakiej on jeszcze nie zdążył dojść. Zrazu nieznacznie, potem coraz bezczelniej zaczął mu podbijać ceny. Zanim Wistek zorientował się, czego szukają klienci, choć przecież miał w tym dużą wprawę, tamten już wracał, już przywoził – albo jemu przywozili – atrakcyjny towar, a jego straganiarze, budkarze i pomniejsi handlarze rozkładali to od samego świtu, wdzięczyli się do kupujących, zachwalali, rzekomo obniżając ceny.

Tym kimś był Feliks Bystron. Wistek znienawidził go od pierwszej chwili, kiedy zorientował się, że podstawia mu nogę. Nienawidził go tym bardziej, że jak dotąd nie zdołał dowiedzieć się, kim właściwie jest ów Bystron. Nikt o nim wcześniej nie słyszał. Wistek rozpuścił po mieście swoje „psy gończe”, niektórych nawet wysłał w teren. Doszło do tego, że zaczął przepłacać co lepszych agentów, póki się nie zorientował, że dwaj, na których liczył najbardziej, zmówili się i podsunęli mu wiadomości rewelacyjne, cóż, kiedy wyssane z palca. Jednemu wybił parę zębów, drugi zdążył uciec. W rezultacie o Feliksie Bystronie wiedział tyle co nic.

Owszem, można powiedzieć, że znali się „towarzysko”, a raczej „służbowo”. Spotykali się czasami na giełdach i targowiskach, w restauracjach, kiedyś nawet w samolocie. Wymieniali wtedy banalne uwagi o pogodzie lub czymś równie obojętnym.

Bystron miał zielonego peugeota, mieszkał na Żoliborzu w bloku na szóstym piętrze. Był rozwiedziony, sam zajmował trzy duże pokoje. Wistek dostrzegał, że giełdowy rywal nie tylko nie ukrywa swej niechęci wobec niego, ale – co było szczególnie drażniące – od pewnego czasu spogląda na niego z ironicznym uśmieszkiem i jakby z góry. „Król” nie był przyzwyczajony do takiego traktowania. Po prostu krew go zalewała, miał nieprzepartą wprost ochotę rozkwasić tę śniadą facjatę z piwnymi, głęboko osadzonymi oczami i wąskimi, choć kształtnymi ustami układającymi się w pogardliwy, niepokojący uśmiech. Nie mógł tego zrobić sam. Był poważnym człowiekiem interesu, nie oszukiwał (osobiście), dawał od czasu do czasu pieniądze na wzniosłe cele, nie miewał zatargów z policją ani z urzędem skarbowym. Jak to robił, pozostawało tajemnicą.

– Żeby wiele mieć, trzeba wiele umieć – powtarzał czasami znajomym, a także w domu, gdyż cenił zarówno urodę żony, jak i jej ślepe przywiązanie do niego – wspaniałego męża. Przeczytał kiedyś książkę Hansa Hellmuta Kirsta *Fabryka oficerów*; znalazł tam i zapamiętał takie zdanie: „Nie ufajcie nikomu, a najmniej sobie samym, bo zaufanie człowieka jest w straszliwy sposób nadużywane”.

Wistek nikomu nie ufał, ale nie zgadzał się z resztą cytatu; sobie ufał całkowicie. Nie przyjął nigdy żadnego współnika. Twierdził, że jeśli dwaj współnicy się zgadzają, to jeden z nich jest zbyteczny, a jeżeli mają odmienne poglądy – tym bardziej. Zatrudniał wprawdzie całą sforę drobnych pośredników, agentów, informatorów, ale nie traktował ich jak równych sobie. Płacił dobrze, wyrzucał natychmiast niezaradnych, oszustów i krętaczy.

Pojawił się jednak ktoś, kto przerastał umiejętnościami jego ludzi. A być może i jego samego. Kiedy uświadomił to sobie, zaniepokoił się nie na żarty.

Pierwsze dni maja były upalne. W parkach wszystko kwitło na potęgę, cieszyła oczy świeża zieleń traw. Ludzie jakby obudzili się z zimowego snu, jeszcze nie opaleni, ale już w letnich strojach, kolorowi, weseli. Nawet pasażerowie autobusów, zmęczeni wyczekiwaniem, gnieceni w tłoku, mieli nieco lepsze niż zwykle humory.

Do przystanku przy Chełmskiej podjechał spóźniony ikarus. Na jednej tablicy miał numer „177”, na drugiej „503”. Skołowana pasażerka przepchnęła się do przodu, krzyknęła z irytacją:

– Panie, co to za wóz? Z przodu ma pan co innego niż z tyłu!

– Pani też ma co innego z przodu, a co innego z tyłu – odparł kierowca z niezmaconym spokojem i ruszył.

Robecki roześmiał się; stał wciśnięty między spoconego chłopaka w koszulce z wymalowanym zielonym tygrysem a starszą panią, dźwigającą dwie duże torby. Dopiero przy placu Na Rozdrożu rozluźniło się, mógł nawet zająć miejsce siedzące. Nie spieszyło mu się, w domu nikt nie czekał. Ostatnio nie narzekał jednak na samotność; znalazł dobrze płatne zajęcie przy naprawie drobnego sprzętu elektronicznego. Na wieczór umówił się z klientem, który chciał przyjść ze swoim mikrokomputerem. Jak twierdził: „nawala układ pamięci”, ale sam wolał przy tym nie grzebać.

– Ma pan zupełną rację – odparł wówczas Robecki. Od takich napraw jestem właśnie ja. Do przyjścia klienta pozostało jeszcze trochę czasu. Zaparzył sobie kawę, włączył telewizor. Dwa małe skrzaty Claus i Dany leciały na białym łabędzie o imieniu Henryk do innego kraju w jakiejś niesłychanie ważnej sprawie. Patrząc na ekran uprzytomnił sobie, że przecież jest niedziela, powinien gdzieś pójść, umówić się z dziewczyną, a nie z facetem i komputerem. Pomyślał jednak że ów starszy pan o wystraszonej twarzy bez protestu przyjął zaproponowaną przez niego cenę: trzy tysiące za minutę roboty, choć był to żart, bo nigdy nie pracował na czas. W takiej sytuacji można było jednak spróbować wyciągnąć od klienta, ile się tylko da. A Robecki potrzebował pieniędzy. Jak wszyscy.

Zaraz po Wiadomościach TV odezwał się brzęczyk w drzwiach, a potem starszy pan wszedł do pokoju, ściskając w rękach czarną teczkę.

– Proszę, niech pan pokaże swój sprzęt – zachęcił technik-amator. Zorientował się, że przybyły ma pewne opory, być może nie dowierza jego umiejętnościom. Wobec takich stosował wypróbowaną metodę: urządzić krótki wykład, który miał olśnić i wzbudzić całkowite zaufanie klienta. – Już widzę piękny kieszonkowy mikrokomputer. Pewnie ma pan w domu magnetofon kasetowy, a w tym maleństwie układ sprzęgający.

– Skąd pan wie? – zdziwił się i zarazem ucieszył klient.

– Oczywiście, procesor ośmiobitowy... Rzecz jasna, pamięć stała ROM i dynamiczna RAM i tak dalej. Wyświetlacz trzydziestodwuznakowy na ciekłych kryształach. Język programowania...

– Basic – przerwał starszy pan.

– Tak. Czasem bywa Forth. Model Epson PX-8. Mógłby być też Sharp PC-5000. Albo HHC-Panasonic – rzucił niedbale.

– Pan się na tym zna – powiedział klient z ogromnym zadowoleniem. – A wie pan, kolega ma DG-1.

Robecki niedbale skinął głową.

– Wtedy system operacyjny: MS-DOS. Miałem taki niedawno w robocie.

Wykład chwycił. Teraz można już było rozmawiać o pieniądzach. Z miejsca zorientował się, że klient nie ma pojęcia o kosztach naprawy. Zaryzykował:

– Biorę w zielonych.

– W czym? – tamten nie zrozumiał.

– W dolarach – wyjaśnił.

– Dużo?

Chwilę milczał. Już zorientował się, że roboty będzie tyle co nic, ale gość nie musi o tym wiedzieć. Gdyby chociaż trochę znał się na konstrukcji mikrokomputerów, naprawiłby go sam. Ale to taki bb, czyli biurowy baran. Techniczna noga.

– Nie wiem jeszcze dokładnie. Gdzieś koło trzydziestu pięciu, może czterdziestu. Stać pana? – Uśmiechnął się z odrobiną ironii. – Wie pan, na Nowym Świecie otworzyli niedawno sklep PUMA; oni mają buty sportowe po czterdziestu dolarów. A co jest droższe: buty czy mikrokomputer?

Klient westchnął ciężko. Nie kupował nigdy butów za dolary, ale swój ukochany sprzęt cenił z pewnością wyżej niż trzy, może nawet cztery pary butów.

– Niech będzie – odparł z rezygnacją. – Na kiedy pan to robi?

– Może pan przyjść w środę. Tak jak dzisiaj, wieczorem.

– I będzie dobrze naprawiony?

Aby rozwiązać tę resztkę nieufności, Robecki odparł naciskiem, że lepiej od niego nikt tego nie zrobi.

Kilka minut po północy pierwszy z psów obudził się, uniósł łeb i nadstawił uszy. Jakiś obcy dźwięk, ledwie słyszalny, doleciał go od strony sztachet. Chwilę później zbudził się

drugi. Oba usiadły w trawie, jeszcze w miarę spokojne, ale z pyskami wyciągniętymi w stronę, skąd szedł nieznanemu szmer. Wilgotne nosy wietrzyły niebezpieczeństwo. Psy nie warczały, siedziały w zupełnym milczeniu tak jak je nauczono. Nie miały alarmować. Ich zadaniem było schwytać i unieszkodliwić.

Nagle zerwały się, przypadły do ziemi i popęzły naprzód niedostrzegalne i niedosłyszalne.

Ludzi było dwóch. Musieli znać ochronny system elektryczny, bo nie dotknęli nawet sztachet. Przeskoczyli przez dwumetrową przeszkodę, wspierając się na mocnych, długich tyczkach, które natychmiast ściągnęli do ogrodu i ukryli pod krzakami. Stali potem dość długo, rozglądając się dokoła; noc była bezksiężycowa, ciepła. Wreszcie ten wyższy trącił towarzysza lekko łokciem; był to znak, że można iść.

Psy wciąż pęzły naprzód. Dom, do którego kierowali się nieproszeni goście, miał wszystkie okna ciemne. Była to spora piętrowa willa z tarasem; lekko kremowe ściany widoczne były nawet w tę noc bez gwiazd mimo braku oświetlenia. Dzikie wino opłotło dwie smukłe kolumny przed frontem budynku; wisiała tam kolorowa latarnia, teraz zgaszona.

Obcy wiedzieli, że system alarmowy chroni nie tylko ogrodzenie, ale także wszystkie wejścia do domu i wszystkie okna. Tylko od wewnątrz można go było wyłączyć. Orientowali się jednak, że główny kabel biegnie dokoła budynku na głębokości trzydziestu centymetrów i znali miejsce, w którym można było dostać się do niego bez rozkopywania trawnika. Znajdowało się ono dokładnie przy pierwszym stopniu schodów, wiodących na taras.

I jeszcze o czymś wiedzieli nieproszeni goście – o tym, że właściciel willi wraz z rodziną przebywa za granicą, a domu strzeże tylko jeden człowiek.

O ile jednak trzy pierwsze informacje były prawdziwe, o tyle ostatnia okazała się mylna. W domu spały cztery osoby: właściciel domu, jego żona i dwoje ludzi ze służby. Kiedy przybysze znaleźli się przy stopniach tarasu, psy zerwały się, dopadły błyskawicznie postaci w czarnych obcisłych kombinezonach i zatopiły zęby w ich łydkach. Atak był równie gwałtowny, co niespodziewany. Napastowani wyciągnęli noże i próbowali się bronić. Psy zaniosły się rozpaczliwym szczekaniem, które rozlegało się po całym ogrodzie.

– A mówiłeś, że nie ma psów! – jęknął niższy.

– Wiejemy! – syknął drugi. – Tam gdzie tyczki.

Łatwo było powiedzieć, trudniej wykonać. Oba zwierzęta, wielkie i silne, przewróciły swoje ofiary i przywarowały z zębami niemal przy ich gardłach. Choć ranne, wypełniły swoje zadanie.

W domu rozbłyły światła, drzwi wejściowe otworzyły się i stanęło w nich dwóch mężczyzn z pistoletami w rękach. Podbieгли do psów, oderwali od ludzi, odrzucili na bok. Jeden z domowników był w piżamie, drugi w roboczym ubraniu, widać jeszcze nie spał. Pochylił się nad leżącymi, przyjrzał twarzom.

– Ja ich znam – mruknął. – Robili u nas w ogrodzie na początku kwietnia. Wstawajcie, kurwa, bo powystrzelam!

Mężczyzna w piżamie trzymał się trochę z boku. Popatrzył na ludzi w podartych pokrwawionych kombinezonach, potem na psy, które cicho skomlały lizały swoje rany. Ziewnął, wstrząsnął nim dreszcz. Człowiek w roboczym ubraniu wprawnymi ruchami związał ręce niedoszłych włamywaczy.

– Do piwnicy? – spytał.

– Tak. Na razie – odparł pierwszy, widać gospodarz domu. – Jutro sprowadzisz... wiesz, kogo.

– Jasne, szefie!

Kiedy już zamknięto i zaryglowano drzwi piwnicy, właściciel willi powiedział do swego pracownika:

– Wiedzieli w którym miejscu znajduje się kabel. Ale jak przeszli przez płot? Nie słyszałem alarmu.

– Sprawdzę. – Barczysty, silnie zbudowany człowiek z wysuniętą szczęką i małym, krótko strzyżonym wąsem znikł w ogrodzie. Wrócił po kwadransie, wszedł do gabinetu, gdzie jego szef popijał brandy, i powiedział: – Cwana hołota! Przynieśli ze sobą długie tyczki. Znalazłem pod krzakami.

Wistek uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Skok o tyczce przez płot? Może to cyrkowcy albo coś w tym rodzaju. – Zaśmiał się, zaraz jednak spowaźniał, zmarszczył brwi. – Za dużo wiedzą. Prąd w sztachetach, kabel... O psach pewnie zapomnieli.

– Kiedy pracowali w ogrodzie, mogli psów nie widzieć. Przecież na dzień są zamykane.

– Dlaczego myśleli, że nie ma nikogo w domu?

Pracownik uśmiechnął się.

– Ode mnie. Pośrednio – dodał zaraz, widząc ostry błysk w oczach szefa. – Czasem mówię tu i ówdzie, no, na przykład w sklepie, że w tych dniach dom będzie pusty. Tak na wabia. No i przydało się.

Wistek milczał chwilę. Odstawił kieliszek, sięgnął po papierosa.

– Są niebezpieczni – stwierdził. – Za dużo wiedzą.

Mężczyzna z wąsem przytaknął ruchem głowy. Miał wielką ochotę na alkohol, ale w tym gabinecie nie było zwyczaju, aby kogoś takiego jak on częstować. Stał więc cierpliwie i czekał.

– Jutro rano wezwiesz Długiego. Dacie im radę we dwóch?

– Tak. Ma pan jeszcze ten środek?

– Jest w łazience. Strzykawka, igły i kilka ampulek. Potem wywieziecie ich ciężarówką. Załaduj tam jakieś pudła, beczki.

– Rozumiem. Dopilnuję. Również we własnym interesie. – Pokazał w uśmiechu ostre zęby. – Przecież oni mnie znają. Muszą zniknąć.

Wistek wstał, skinął głową i odszedł do sypialni. Był śpiący. Mimo to zatrzymał się na chwilę na środku pokoju, patrząc na kobietę, której nie zbudził ani ruch w domu, ani światło czy szczekanie psów. Oddychała lekko, swobodnie, bujne ciemne włosy rozsypały się na poduszce, a twarz, pozbawiona na noc makijażu, wydawała się młodsza.

Patrzył z przyjemnością na jej regularne rysy, delikatny zarys głowy i drobne, wypielęgnowane ręce. Byli cztery lata po ślubie, a mimo to wciąż fascynowała go swą urodą. A że była tak beznadziejnie głupia, tak nic nie rozumiejąca? Mało ważne. Nie żenił się po to, by prowadzić z żoną poważne dyskusje. Chciał mieć w domu kobietę reprezentacyjną. Ubierał ją w najdroższe zagraniczne ciuchy, przynosił kosmetyki najmodniejszych firm, spełniał bez wahania każdy jej kaprys. I był zadowolony.

*

O czwartej rano dwaj pracownicy Wistka – barczysty wąsacz imieniem Wacek i ściągnięty przez niego Długi, mężczyzna o wzroście blisko dwa metry, niskim czole i umyśle tak prymitywnym, że zaledwie rozumiał, co się do niego mówiło – zeszli do piwnicy. Włamywacze byli zamknięci oddzielnie, tak by nie mogli się porozumieć.

– Najpierw ten – powiedział Wacek, wkładając klucz do zamka w drzwiach.

Długi zamruczał coś i zastawił sobą wejście na wypadek, gdyby więzień chciał wyskoczyć. Ale zamknięty w nocy człowiek leżał spokojnie w kącie na cementowej podłodze. Widać było, że jest zupełnie zrezygnowany. Gdy zobaczył wchodzących, poprosił tylko:

– Dajcie wody!

Długi roześmiał się hałaśliwie; śmiał się z byle czego, wystarczyło pomachać mu przed nosem chustką czy kawałkiem patyka. Kiedyś pewna kobieta stwierdziła ze zdziwieniem, że Długi ma dobre serce. Było to wtedy, kiedy zabrał z jezdni rannego psa, cudem niemal uniknąwszy kół pędzącego samochodu. Nie wiedziała, że chwilę później powiesił zwierzę na pobliskim drzewie, bo po prostu nie wiedział, co z nim zrobić.

– Gadaj teraz prawdę! – rzekł Wacek, patrząc chłopakowi prosto w twarz. – Po co przyszłście do ogrodu? Rusz się, wstawaj.

Ranny dźwignął się z trudem na bolącej nodze, pociągnął nosem.

– Daj pan pić! – wystękał. – Pali mnie w środku jak cholera.

– Przynieś wody w wiadrze – rozkazał Wacek Długiemu. Kiedy więzień zaspokoił pragnienie, powtórzył pytanie.

– My tak tylko – bąknął. – Popatrzeć.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI